



Przed wyprawą nad Tso Moriri musieliśmy spakować nasze bagaże i ostatecznie pożegnać malownicze Leh. Tradycyjnie już zerwaliśmy się z łóżek wraz ze wschodem słońca, by trudną górską drogę nad jezioro pokonać jak najszybciej i mieć popołudnie i wieczór na spaceru brzegiem jeziora. Tak też było. Na miejsce dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Zainstalowaliśmy się w wynajętych pokojach i poszliśmy na przechadzkę po wsi Korzok i brzegiem większego niż Pangong, aczkolwiek równie pięknego, jeziora Tso Moriri. Jezioro ma wydłużony kształt i zniewalająco błękitne wody, a jego brzegi porośnięte są szmargdową trawą, na której rosną, tworząc dywany, małe żółte i różowe kwiatuszki, zaś wokół Tso Moriri piętrzą się pod niebo jeszcze wyższe góry niż nad Pangongiem. Po powrocie ze spaceru mieliśmy chwilę dla siebie i wtedy jedni odpoczywali w pokojach a inni poszli na przykład do pobliskiej świątyni buddyjskiej pozwiedzać i zrobić kilka ciekawych zdjęć. Kolację zjedliśmy przy świecach (bo nie było prądu) i dziwnym (dla tych, którzy są na bakier z fizyką) urządzeniu zrobionym z żarówki włożonej do szklanki z odrobiną wody na dnie. I ustrojstwo działało! Opatuleni w grube koce, bo po zachodzie słońca zrobiło się naprawdę zimno, zjedliśmy pyszne warzywne subji i dal z ryżem... a rano obudziły nas ryki osiołków i pukanie kropel deszczu o szyby okien. Po szybkim śniadaniu (chleb + omlet) pojechaliśmy w kierunku Jispy i Keylongu. Zatrzymaliśmy się tylko na godzinkę w szkole dla dzieci nomadów w miejscowości Puga. Jak już wcześniej pisałam, uczniowie i nauczyciele z tej szkoły pomogli dziesięć lat temu uczestnikom trzynastej wyprawy do Indii leciutko poobojanym po wypadku busa, którym podróżowali. Kumar zdecydował, że książki, kredki, mazaki i inne przybory szkolne, które przywieźliśmy do Indii, zostawimy właśnie w tej biednej szkole, w której od progu witały nas kilku i kilkunastoletnie dzieci, ich nauczyciele i dyrektor. Radość z otrzymania od nas tych giftów była ogromna, a jeszcze większa ze zdjęć, które robiliśmy dzieciom i z dziećmi. Niestety trzeba było się pożegnać i ruszyć dalej. Tymczasem po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów utknęliśmy na kilka godzin w Sarchu - w osadzie blisko mostu, który już w drodze TAM narobił nam problemów, bo był uszkodzony. Tym razem powtórka z rozrywki. Warunki atmosferyczne, czyli opady śniegu w wyższych partiach gór i deszczu w niższych były powodem problemów. Informacje, które do nas dotarły nie były optymistyczne - jeden most zerwany, drugi podmyty, więc trzeba czekać może kilka godzin a może dzień, dwa, trzy... Hm... niby można, ale szkoda tracić czas, który mogliśmy spędzić w miejscach zaplanowanych wcześniej. Na szczęście Kumar z Rysiem, robiąc kolejne kilometry, czyli chodząc od Annasza do Kajfasza i wypytyjąc o to, co dalej, ustalili, że za jakiś czas może będzie okazja dojechać chociażby do Jispy i tak się stało. Góry były białe, temperatura spadła, jadąc zakładaliśmy na siebie kupione w Sarchu ciepłe skarpety i kolorowe czapki. W Jispie mieliśmy zamiar przenocować w hotelu, w którym zatrzymaliśmy się jadąc do Ladakhu. Tymczasem kiedy byliśmy już na miejscu, okazało się, że hotel jest zamknięty na cztery spusty i musimy szukać innego. Znaleźliśmy oczywiście, ale do łóżek wpakowaliśmy się po północy. Krótco spaliśmy, by następnego dnia jak najwcześniej przejechać trasę do Manali, a przede wszystkim przejechać przełęcz Rohtang. A jednak nie pojechaliśmy daleko. W miejscowości Sissu dowiedzieliśmy się, że przełęcz i droga do niej są zamknięte z uwagi na nasze - podróżujących bezpieczeństwo. Nie mogliśmy pojechać dalej, więc... jedliśmy, piliśmy herbatki i gorące czekolady. Noc spędziliśmy w Keylong, a rano obudziło nas słońeczko - znak, że ruszymy dalej. I rzeczywiście, drogi były otwarte, ale jadąc nimi przekonaliśmy się dlaczego wcześniej nie były przejezdne - wielkie koparki ciągle jeszcze walczyły ze skutkami lawin błotnych i usuwały zwałone ze zboczy głązy. I już widzieliśmy się na deptaku Manali, gdy nagle okazało się, że znowu stoimy i postoiśmy długo



w długim korku samochodów. Kumar poszedł na zwiady i okazało się, że na cysternę (na szczęście pustą) zwały się ogromne głazy. Pięć godzin później służby poradziły sobie z problemem. Co można robić przez kilka godzin na górskiej drodze? To co my! Opalać się, spacerować, jeść i wygłaszać zaległe referaty. Ze spaceru w stronę przywalonej cysterny niektórzy z nas wracali z łupami, tj. ze słoiczkami miodu, który zaczął sprzedawać jakiś operatywny lokalny bartnik, widząc długi sznur aut wypełnionych turystami. Miodek, nie powiem, pyyyyyyszny... A nasza ekipa, pod kierunkiem Kumara, dodatkowo wszczęła małą akcję, która miała na celu uregulować sytuację na drodze, na której staliśmy. Bo my staliśmy grzecznie, nie podjeżdżaliśmy bliżej cysterny, bo a nuż uda się jakoś przejechać albo przynajmniej jak najwcześniej ruszyć kiedy to będzie możliwe. Tymczasem wielu nas początkowo mijalo i efekt był taki, że koparki, próbujące usunąć głazy z cysterny miały poważnie utrudnione zadanie. Więc my usiedliśmy na drodze i nie przepuszczaliśmy już nikogo, choć nie podobało się to kierowcom - kombinatorom. Trąbili na nas, pokrzykiwali, pomstowali, ale my zajmowaliśmy stoicki spokój a Kumar grzecznie radził zawrócić na przełęcz Rohtang i obrać kierunek na ZAWIERCIE.

Wieczorem natomiast droga stała się przejezdna i już bez dodatkowych przygód dojechaliśmy do Manali.